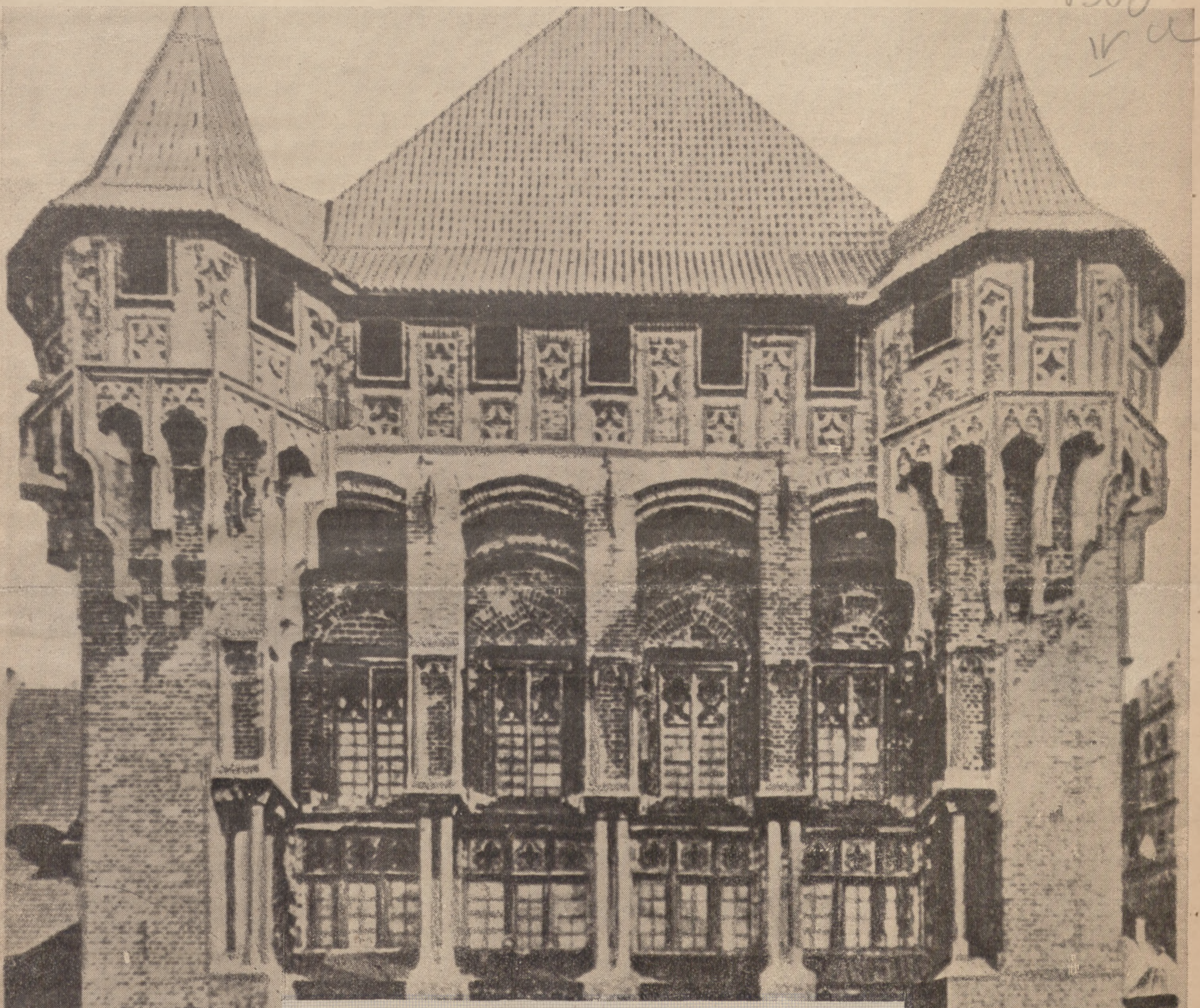
Nr 1
14. VII. 1946 r.

TYDZIEŃ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

Cena 8 zł



Nie opodal ujścia Nogatu do Wisły, wznoszą się potężne budowle krzyżackiego zamku w Malborgu. Nazwa ta w umyśle każdego Polaka była symbolem nieszczęść i zbrodni jakie spadały na nasz kraj z ręki podstępnego sąsiada. Dla Niemców przeciwnie — Malborg był ostoją kultywowanej wśród nich idei drapieżności i mordu. Zbójeckie gniazdo otaczali czcią, a świetnie zrekonstruowane komnaty i dziedzińce, odtwarzały obraz krzyżactwa, urągającego światu, że nic tam się nie zmieniło i zmienić nie może



Zdobyty sztandar krzyżacki

Dzisiaj powyszczerbiane od działań wojennych mury, opustoszałe dziedzińce i komnaty zamczyska przypominają nam widma zbrodniarzy niemieckich, którzy dzisiaj z ław oskarżonych, oczekują słusznych, lecz surowych wyroków.

DLA ZAMKU W MALBORGU MOŻE BYĆ TYLKO JEDEN WYROK. Jak się dowiadujemy ma powstać tam wielka zbiornica dokumentów zbrodni niemieckich. Rozrzucone po Europie miejsca kaźni z biegiem lat stracą wymowę i zniszczeją, zebrane zaś w Malborgu, staną się wielkim pomnikiem — przestrogą dla całego świata.

Polska będzie czuwać, aby mury zamczyska spełniały swą właściwą rolę po wieczne czasy.

(W związku 536 rocznicą, zamieszczamy na stronie 4. reportaż z pola bitewnego pod Grunwaldem)

LUDZKIE I ANTYLUDZKIE

Szef sztabu amerykańskiego generał Marshall podaje cyfry porównawcze strat ludzkich, poniesionych przez Stany Zjednoczone w różnych wojnach. Z zestawienia wynika, że Stany Zjednoczone straciły w ostatniej, największej z pośród wojen jakie zna historia ludzkości 201,267 zabitych, podczas gdy wojna secesyjna w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku kosztowała Amerykę 184,594 zabitych. Czas trwania obu wojen (secesyjna — 48 mies.; II Światowa 44 mies.) był dla Ameryki prawie taki sam. Czyli — w epoce jednostrzałowego karabinu prawie tyleż zabitych, ile w okresie fortec latających i broni maszynowej. Jeżeli mówi się z gorzką ironią o „postępie“ wojennym, wyrażającym się zwielokrotnioną ilością zabitych, to tutaj notujemy postęp rzeczywisty, bez przenośni. Postęp w ocenie wartości życia ludzkiego.

Na taką oszczędność strat ludzkich mogło sobie pozwolić mocarstwo, które jednocześnie nie żałowało na wojnę gigantycznych nakładów materiałowych. Pomijając względy humanitarne i biorąc pod uwagę jedynie techniczne, tego rodzaju sposób prowadzenia wojny wynika z rozumowania, iż człowiek jest najdroższą machiną wojenną. Wyprodukowanie skomplikowanej broni nie trwa dłużej niż kilka miesięcy. Wyprodukowanie człowieka — około lat 20. Inna rzecz, że dla zastosowania metody oszczędności ludzi potrzeba było warunków, danych właśnie w tej wojnie krajom anglo-saskim.

Podczas wystawy wojennej w Paryżu na płycie grobowej, symbolizującej straty Polski, wyryto cyfrę 7.000.000. Myśmy nie mieli możności stosowania oszczędności ludzkich, zastępowania ich nakładem materiałowym. Płaciliśmy tym, cośmy posiadali: krwią.

„Jesteśmy narodem mordowanym“ powiedział Brzozowski na początku obecnego stulecia, kiedy Polska była rozdarta między trzy zabory. Dopiero jednak porównanie tamtych zaborów i ich zbrodni z ostatnim zaborem i jego zbrodniami, pozwala powiedzieć, że słowa Brzozowskiego zabrzmiały pełnym dźwiękiem dopiero w piątym dziesięcioleciu naszego wieku. Wiemy również, że oprawca naszego narodu nie był prostym barbarzyńcą, mordującym w porywie szału. Jego zbrodnia była przemyślana. Celem jego było wytępienie najwpierw grupy przodującej inteligencji, dynamiką narodową i społeczną. Reszta miała być obrócona w niewolników i zniszczona stopniowo, po dokonaniu prac fizycznych, potrzebnych dla narodu panów. Przede wszystkim przystąpiono do planowego tępienia elementów najbardziej wartościowych. Na przykład mordowano zespoły profesorów wyższych uczelni. Poza zasięgiem tępiciela znalazły się jedynie stosunkowo mniej liczne grupy polskie, którym udało się przedrzeć na emigrację oraz pewne rezerwaty oficerów w oflagach.

Tak więc, przebudziliśmy się z koszmaru wojny i okupacji, jako naród znacznie niż przed wojną mniejszy liczebnie, słabszy pod każdym względem wskutek gwałtownego i systematycznego wykrwawienia.

To jest rzeczywistość.

Ale okupant wyrządził nam jeszcze jedną krzywdę, nie mniej dotkliwą, choć nawet nie zamierzoną. Nie można przez czas dłuższy przebywać bezkarnie w jednym pokoju z obłąkanym zbrodniarzem, choćby się z nim staczało walkę. Obłęd, zbrodnia i wszelkie zło mają właściwości zaraźliwe nie mniejsze, niż trąd, czy dżuma; nie tylko my, ale cały świat doznał niebolicznalnych strat moralnych przez kontakt, chociażby tylko wojenny z hitleryzmem.

Krwawe wydarzenia w Kielcach są wymownym dowodem, że zarazki hitlerowskiej mentalności i rozbudzone przez hitleryzm instynkty nie wygasły.

Ponieśliśmy tedy podwójną stratę: raz w ludziach zabitych i drugi raz w ludziach zdemoralizowanych, albo takich, których sposób myślenia został wypaczony.

Z tego wynikają konsekwencje i wnioski. Budujemy przecież Polskę na nowo, a budować ją musimy na materiale społecznym — na człowieku. A przecież skuteczność i treść wszystkiego, cokolwiek wybudujemy i jakiekolwiek programy zechcemy realizować — jest kwestią człowieka i tylko człowieka.

Przeżyliśmy rewolucję. Narazie jest to tylko rewolucja form. Treścią rewolucji, o ile ma być ona krokiem naprzód, jest stwarzanie nowego człowieka. Ten nowy człowiek musi się wychować, ukształtować. Nie tylko przez wychowanie formalne, ale i to przede wszystkim przez wychowanie w działaniu. Musi on mieć możność wykazania w najszerszym zakresie swojej inicjatywy społecznej, gospodarczej, politycznej, światopoglądowej. Łożyska dla takiej inicjatywy w założeniu istnieją. Istniejące ustawy odsłaniają np. szerokie pole dla gospodarczej inicjatywy prywatnej, zmierzając jednocześnie do skanalizowania jej w kierunku zgodnym z ogólnym, ramowym planem gospodarczym. Poza tymi możliwościami istnieją szersze jeszcze dziedziny o charakterze bardziej nowoczesnym, bardziej wypływającym z ducha czasu: potężny nurt spółdzielczy, organizacje zawodowe, partie polityczne, organizacje kulturalne i specjalne. W ich łożysku może znaleźć ujście twórcza inicjatywa człowieka, jego myśl i pęd do działania. I tutaj winniśmy unikać narzucającym się podstępnie sugestiom totalizmów, którym ulegaliśmy mimowoli, wraz ze światem. Jedną z sugestii totalizmów jest uproszczenie, a właściwie prostactwo w rozwiązaniu zagadnień i wyzwalaniu energii społecznej. Gdziekolwiek natrafia się na trudny problem, trzeba go przepchnąć, obalić brutalnym ciosem, rozciąć węzeł, zamiast go rozplątać. Hitleryzm np. postanowił „rozwiązać“ kwestię żydowską. Wybrano drogę „najprostszą“. Wymordować i spalić. Pozyskanie opinii publicznej nie jest rzeczą łatwą. Totalizmy radziły sobie „łatwo“. Kazały jej milczeć. Nie ma wielkich osiągnięć bez wyzwolenia energii społecznej. Totalizmy to rozumiały, ale zagadnienie rozwiązały na swój sposób: zamiast urobić masy ludzkie, przygotować je do postawionych zadań, pobudzały je tylko do działania. Wytworzyła się oszałamiająca technika wywoływania entuzjazmu, „woli zbiorowej“ mas, które hipnotyzowano przy pomocy haseł, sloganów, orgii, flag i świateł. Zamiast przekonać, pozyskać i wychować człowieka tak, by własnym popędem realizował hasła dobra zbiorowego, kazano mu krzyczeć „heil“ albo „eviva“. I to wystarczało. Nie na długo. Totalizmy nie stworzyły trwałego, pozytywnego dzieła, bo właśnie zapomniały o człowieku, widząc w nim bezmyślny motor, a nie świadomy podmiot działania.

Nie wystarczy stworzyć form dla inicjatywy społecznej — trzeba je wypełnić treścią. Nie wystarczy rzucić haseł. Trzeba urobić dla nich rzeczywistych, działających z własnej woli zwolenników. Nie wystarczy wołać „tak“ lub „nie“. Trzeba jeszcze powiedzieć — dlaczego. Nie wystarczy stworzyć program — trzeba dać możność krytycznego oświetlenia. Program słuszny nie traci na krytyce, tylko zyskuje.

Nasze pismo postawiło sobie ambitny zamiar: stać się trybuną niezależnej opinii publicznej. Oceniać zjawiska objektywnie, niezależnie od względów pobocznych i sugestii grupowych. Oświetlać zjawiska możliwie wielostronnie. Konfrontować różne, uczciwe poglądy na interesujące nas zagadnienia. Przyczynić się w ten sposób do wytworzenia świadomej inicjatywy. Służyć na tej drodze rozwojowi człowieka w nowych formach życia. To starczy za program i uzasadnienie potrzeby istnienia pisma. Stopień, w jakim cel nasz będzie osiągnięty, zależy w dużej mierze od współpracy uczciwej opinii publicznej.

DRĘTWOTA SERC

Warszawskie ekshumacje poległych powstańców przysporzyły wiele goryczy ich rodzinom i wszystkim normalnym ludziom. Nienormalni ludzie bowiem — t. j. liczni z pośród pracowników zatrudnionych przy dobywaniu i grzebaniu zwłok — pili wódkę nad otwartymi mogiłami; — wśród szczątków poszukiwali cenniejszych przedmiotów, z rozmachem wyrzucali na wierzch łopatami kawałki zwłok, jak widłami gnój.

Gorzki jest również pośmiertny los tysięcy Warszawiaków, pomordowanych przez Niemców w okolicy Al. Szucha w czasie Powstania. Kilka ton prochów z ich spalonych zwłok zalega piwnice dawnego GISZ-u, z otwartym dostępem od ulicy dla szakali, które gmerały w tych szczątkach tragicznych, szukając klejnotów.

Przez rok od chwili oswobodzenia Stolicy miejscem tym nie interesował się nikt. Później — pod wpływem prasowych alarmów — pojawiła się pamiątkowa tablica oraz kwiaty od przechodniów.

Czy wreszcie prochy pochowano z należnym szacunkiem — nie wiem. Wiem tylko, że przez długie miesiące to, co pozostało z ofiar krzyżackich morderców — poniewierało się w pohańbieniu.

Podobne rzeczy dzieją się w katedrach, katakumbach i na cmentarzach.

W gruzach katedry Św. Jana ludzkie hieny wywlekały i porozbijały trumny dostojników, biskupów, mieszczan i patrycjuszy warszawskich z XVII — XVIII stulecia. Na wielu cmentarzach dzieje się podobnie. Najgorzej jednak w Oświęcimiu. W stertach popiołów po zamordowanych i spalonych ryły ludzkie bestie, szukając złotych zębów i kosztowności.

Podobnych faktów jest znacznie więcej. Poprzestańmy jednak na tych. Jedna ich przyczyna. Ta sama, która jest źródłem innych deprawacji o zasięgu masowym, urastających niewątpliwie do zagadnień w skali społecznej.

Tą przyczyną jest wojenne oderwanie się od pojęć, ktore w normalnych warunkach stanowią nieodzowny składnik kultury i moralności.

Życie i śmierć — dwie największe sprawy dla normalnej ludzkości — wojna sprowadziła do jednego mianownika. Do zera. Skoro tak łatwo było śmierć zadawać, czy też tak często na nią patrzeć — cóż dziwnego, że dla wielu kształt jej jest poniżająco obojętny.

Tak. Trupia drętwota serc jest naturalną konsekwencją odczłowieczenia wojennego — jak drętwota i gangrena kończyny — naturalnym następstwem jej zakażenia. Współczesna medycyna opiera się na profilaktyce — t. j. na zapobieganiu schorzeniom. W tym przypadku — już się stało. Wojennemu delirium nie udało się zapobiec. Choroba przyszła i trwała zbyt długo. Pozostawiła po sobie gangrenę. **Trzeba leczyć.** Tam zaś, gdzie gangrena wżarła się nieuleczalnie — amputować, i to natychmiast.

Leczyć — grabarzy pijących wódkę nad szczątkami poległych, leczyć wszystkich innych, chorych przejściowo. Karcić, tłumaczyć, wychowywać, pisać, mówić, oddziaływać.

Ciężko chorych — leczyć „kuracją“ surowych i sprawiedliwych kar, wymierzanych przez społeczność w jej własnym interesie i w interesie karanych.

A tych nieuleczalnych: ścierwników i łotrów, po esmańsku polujących na złote zęby pomordowanych — tych amputować. Tu gangrena zaszła za daleko. Nie łudźmy się. Ani nieświadomość, ani nawet głód nie zaprowadził tych wilkołaków na cmentarzyska ofiar. Przed zwyczajnym głodem stoi wiele możliwości innego — legalnego, czy nielegalnego — zdobycia chleba. Oni „kradną“ bo są zgangrenowani na wylot. Do niczego nie będą już zdolni — poza własną nieludzkością. Do nich żadne słowo, ni myśl, ni uczucie — nie trafią. Trafi tylko salwa plutonu egzekucyjnego.

Tadeusz Rapacki

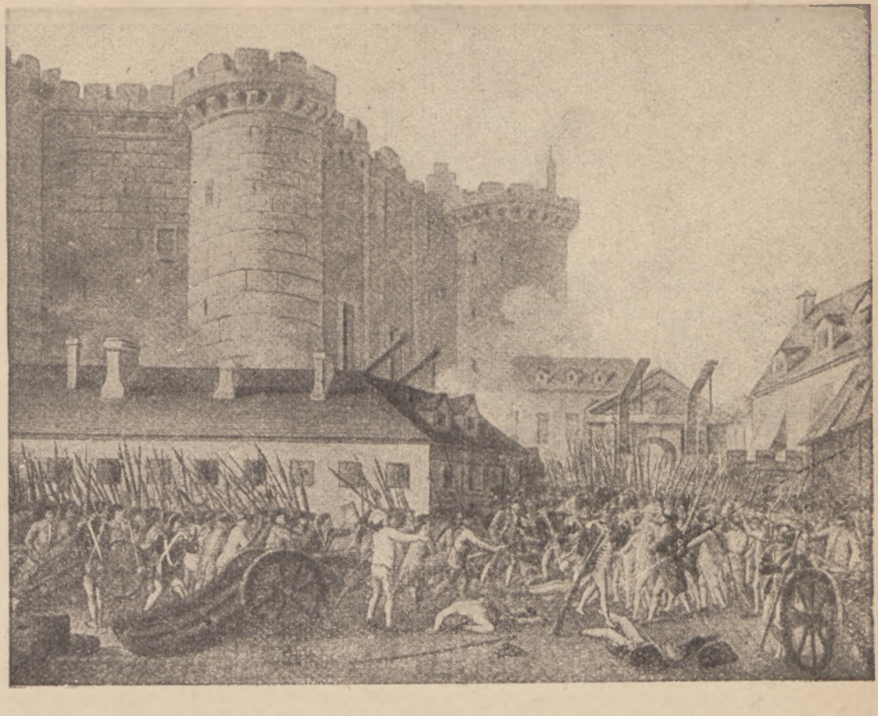
VIVE LA FRANCE!



Braterstwo broni *Sztych Oleszczyńskiego*

(do artykułu na str. 3)

Vive la France!



Zburzenie Bastylii

14 lipca Francja obchodzi swoje święto narodowe. Rzecz godna uwagi, że nazywa się ono **narodowym**, nie państwowym, którym to mianem chrzczą często swoje święta inne narody, podnosząc tym sposobem potęgę swej państwowości. Francuzi nie znają nawet w swym języku takich wyrazów, jak „państwowość" lub „upaństwowienie". Słowo „état", używane przez nich na określenie „państwa", ma wiele znaczeń, śród których „państwo" bynajmniej nie zajmuje pierwszego miejsca. Gdy Francuz chce powiedzieć „państwo" z odcieniem uczuciowym, wyrazi się raczej „la chose publique" ,czyli „rzecz wspólna", „rzecz powszechna"— jakby nasza „rzeczpospolita". Gdy zechce oddać pojęcie „upaństwowienia", powie: nationaliser", co się równa „unarodowieniu". Gdy mówi o przynależności państwowej", powiada: „nationalité", a to jest jednoznaczne z „narodowością". Tak to pojęcie narodowości i państwowości utożsamiło się całkowicie w umysłowości i mowie francuskiej. „Narodowiec" — jeśli się tak wolno wyrazić — czyli członek narodu, i „państwowiec"—to dla Francuza jedno, podobnie jak bardzo bliski sens mają słowa „nation" (naród) i „peuple" (lud), których odmienność dla nas naprzykład jest niewątpliwa.

To wspaniałe zespolenie dwóch pojęć zawdzięcza Francja swej Wielkiej Rewolucji, o której można powiedzieć, że się zaczęła owego dnia 14 lipca r. 1789, gdy lud paryski zburzył Bastylię — warowny zamek i więzienie paryskie, gdzie przez długie lata cierpiały ofiary despotyzmu politycznego. Zburzył je, aby potem wznieść na jego miejscu olbrzymią Kolumnę Lipcową ku czci bojowników wolności. I od owej chwili Francja poczęła się stawać jednym narodem—państwem, jednym narodem—ludem, doskonałą „chose publique" Znakomity historyk francuski Michelet, współcześnik i kolega Mickiewicza po profesurze w Collège de France, idealnie demokratyczny autor „Dziejów Rewolucji Francuskiej", w takich głębokich i prostych słowach ujmuje istotę „nationalité" swego narodu: „La France c'est une nation. Son origine est le melange. L'action est sa vie. L'individu tire sa gloire de sa participation volontaire à l'ensemble": „Francja jest narodem. Jego pochodzenie jest mieszaniną. Działalność jest jego życiem. **Jednostka szczyci się swym uczestnictwem dobrowolnym w zbiorowości"**. Naród — państwo, który doszedł do takiej koncepcji o sobie, jest wielki.

Być może niejeden z czytelników pamięta film Sacha Guitry p. t. „Pola Elizejskie", wyświetlany u nas w Polsce z początkiem r. 1939. Był to osobliwie pomyślany skrót historii Francji, poszukujący w tej historii jej ducha, jej sensu i idei przewodniej. Symboliczną rolę w filmie odgrywał maleńki synek nauczyciela historii, wykładającego swym uczniom dzieje Pól Elizejskich. Dziwnym zrządzeniem przeznaczeń, przypadków i miłości w chłopczyku płynęła krew Ludwika XV czyli dawnych królów arystokratycznej Francji, krew Napoleona I czyli największego jej geniusza zdobywcy, krew Marata czyli rewolucji, i krew pończoszarki czyli ludu. Chłopczyk był micheletowską „mieszaniną", innymi słowy — **syntezą** Francji, w której tyle wrogich sobie na pozór pierwiastków skojarzyło się harmonijnie. Cóż powiedzieć na tę tajemniczą syntezę? Tylko: vive la France! I takim „syntetycznym" okrzykiem kończył się piękny film.

Owa synteza historyczna stanowi siłę moralną narodu francuskiego. Dziś po wojnie jesteśmy świadkami, jak ta siła odradza Francję, o której od r. 1940 sądziliśmy, że upadła na zawsze, że okupacja niemiecka przeżarła ją jadem nieuleczalnym. Obrady Wielkiej Czwórki w Paryżu właśnie wskazują na to, jak Francja odzyskuje swą wielkość, i głos ministra Bidault rozbrzmiewa znowu starą mądrością francuską, której źródłem jest pełen niewiędnącego wdzięku, nieprzetłumaczalny „ésprit français".

ORDON — PATRON SZAŃCÓW

Juliusz Konstanty Ordon, obrońca reduty w 1831 r., nazwanej na pamiątkę bohaterskiej obrony „Redutą Ordona", którego Mickiewicz uśmiercił na szańcach Woli — umarł właściwie dopiero w 56 lat później, a mianowicie w maju 1887 r. we Florencji we Włoszech. Kiedy się urodził i jakie były początkowe koleje jego życia przed powstaniem listopadowym — nie wiemy.

Wiadomo nam tylko, że po upadku Warszawy ranny i pozostawiony na pobojowisku, szczęśliwie uniknął niewoli, a po wyleczeniu się z ran w jednej z wsi podwarszawskich wyemigrował z kraju i znalazł się w Anglii.

Wieść o jego zgonie rozeszła się szeroko po kraju i wśród emigrantów polskich i nie została sprostowana, prawdopodobnie dlatego, że Polski Komitet Emigracyjny w Paryżu nie miał danych o emigrantach polskich w Anglii, ani też żadnej kontroli nad tymi Polakami, których los zagnał do Anglii, Irlandii i Szkocji.

Dlatego też Mickiewicz nie mógł zmienić „opowiadania pułkownika" o śmierci Ordona. Czy kiedykolwiek wieszcz nasz spotkał Ordona nie wiadomo, chociaż ten nie siedział bezczynnie, ale dał o sobie znać w kilka lat później.

Początkowo przebywał Ordon w Szkocji, gdzie przez lat 14 był nauczycielem matematyki i języków obcych.

W 1846, kiedy doszły do niego wiadomości o przygotowywaniu powstania w Galicji przez Zaliwskiego, Dembowskiego i innych, wyrusza w podróż do kraju, przybywa jednak za późno, więc udaje się do Węgier i tam bierze udział w walkach przeciwko Austryjakom w 1848 r. Stamtąd udał się do Włoch, gdzie w szeregach włoskich walczył o wyzwolenie półwyspu Apenińskiego. Należał on do tych zapaleńców, którzy szli wszędzie na odgłos walki nie mogąc usiedzieć na miejscu spokojnie. Wyrusza na czele wyprawy Garibaldiego na czele tysiąca ludzi do Marsylii, przyczynia się do zajęcia Królestwa obojga Sycylii i zdobywa stopień majora. Rząd włoski w uznaniu zasług przyznał mu emeryturę.

Ostatnie lata jego życia upłynęły w zapomnieniu we Włoszech, gdzie zetknął się z poetą Teofilem Lenartowiczem, z którym się zaprzyjaźnił i któremu użalał się, że Bóg zupełnie opuścił Polskę, skoro walki wyzwoleńcze Belgii, Włoch, Rumunii i Grecji odniosły skutek i przyniosły niepodległość tym krajom, a wszelkie zmagania Polaków kończyły się niepowodzeniem.

Przestał więc wierzyć w Boga, unikał ludzi żył bardzo skromnie, pomagając ze swej niewielkiej emerytury biedniejszym rodakom.

Wreszcie pełen żalu i goryczy kończy swój żywot samobójstwem, ku wielkiemu żalowi Teofila Lenartowicza i grona przyjaciół, którym nie udało się natchnąć Ordona otuchą i wiarą. Na pogrzeb pozostawił zaledwie kilkadziesiąt lirów, resztę przed śmiercią rozdał ubogim. Przyjaciele pochowali go na miejskim cmentarzu we Florencji.

Tak zginął „patron szańców" polskich, bohater reduty wolskiej — Juliusz Konstanty Ordon.

M. B.

W obronie felietonu

Można by powiedzieć, że w roku bieżącym felieton jako pewien gatunek literacki obchodzi swoją trojaką rocznicę: trzy mianowicie daty wiążą się z jego genezą: rok 1801, rok 1836 i mniej więcej rok 1846. Tym sposobem felieton świętowałby dziś swoje 145-ciolecie, 110-lecie i stulecie. Wszystkie trzy daty odnoszą się do dziejów literatury francuskiej. felieton bowiem, jak sama nazwa jego wskazuje („feuilleton" od „feuillet" — karta i „feuillete — listek), jest pochodzenia francuskiego.

Za czasów napoleońskich prawo prasowe było surowe, i dzienniki w swych zapasach z cenzurą, chcąc mylić jej czujność uciekały się do żartobliwego niby, lecz w gruncie alegorycznego omawiania wydarzeń bieżących. Tak powstał pewien rodzaj artykułu, który poczęto drukować na dolnej części stronicy i jako rzecz „nieważną", składaną petitem, poczęto oddzielać czyli odcinać („odcinek") grubszą linią od górnej, „ważniejszej" oficjalnej części dziennika. W r. 1801 taki odcinek ustalił się w „Journal des Dèbats" i otrzymał nazwę „feuilleton" nadaną mu przez Jules Geoffroy, który w odcinku począł ogłaszać swoje sprawozdania teatralne, a w nich— jak mówią współcześni — częstokroć nadużywał ostrza swego pióra. Oto więc pierwsza data z historii felictonu. Drugą jest rok 1836, kiedy to Emile de Girardin, popularny w swoim czasie dziennikarz i powieściopisarz, wprowadził do felietonu epokową inowację, rozpoczynając w „La Presse" druk odcinkami, z dnia na dzień, powieści sensacyjnej — pierwowzoru dzisiejszych powieści i nowel „bulwarowych" czy też „brukowych". Ostatnią wreszcie datę w dziejach rozwoju felietonu stanowi rok mniej więcej 1846: około tego czasu wystąpił na widownię dziennikarską Jules Janin — właściwy twórca felietonu w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. On w swych felietonach, pisanych w „Journal des Dèbats", nadał felietonowi te cechy i elementy, jakich od niego przywykliśmy wymagać: rozmaitość tematyki, zmienność treści, prostotę i przejrzystość à la française, lekkość i niewymuszoność, wytworność i giętkość stylu, dowcip i wdzięk, łatwość syntetyzowania zjawisk życiowych,zwartość, sugestywność, paradoksalność — i tam dalej. On stworzył typ felietonu, raczej — rzec można — jego ideał, do którego potem wielu felietonistów dążyło, a który także — jak to w życiu bywa — w rękach niepowołanych ulegał znieprawieniu i spospoliceniu.

U nas przed wojną felieton i rozkwitał i panoszył się. Panoszył — każde bowiem pismo, codzienne i periodyczne, uważało za swój dziennikarski obowiązek posiadanie owego odcinka, o którym jeden z wybitnych naszych felietonistów — Czesław Jankowski — wyraził się niegdyś trafnie, że jest „parterem", a na tym parterze wznosi się nieraz cały gmach gazety. To też nadmiar felietonistów powodował, że poziom felietonu obniżał się: z parteru przeobrażał się częstokroć w suterenę, a nawet w brudną piwnicę. I jeśli ktoś z naszych przedwojennych felietonistów rozpoczynał swe „dzieło" takim np. zwrotem: „Chryja, szkandał i śmichy-chychy, proszę szanownej Instancji" — to mu się tylko zdawało, że pisze felieton: w istocie była to wulgarna grafomania. Wywoływała ona, rzecz prosta, reakcję. Pamiętam, przed samą wojną, toczyła się w kilku poważnych pismach dyskusja w sprawie „felietonomanii". Jeden z krytyków ostro potępiał felieton. Wywodził, że jest to gatunek literacki „beztematowy": że demoralizuje czytelnika, nie nasuwa mu bowiem żadnych sądów ani zdecydowanego zdania; że śmiertelnymi grzechami felietonu są pośpieszne syntezy i pośpieszne wnioski, upraszczanie zagadnień, omijanie trudności myślowych, nieprzyjemny impresjonizm czyli subiektywizm, brak oblicza ideowego, motylkowość, łatwostrawność, jednodniowość. Zycie jest poważne i trudne, a felietonista wykręca się „sianem dowcipu" od odpowiedzialności: taki mniej więcej był sens zarzutów, stawianych felietonowi.

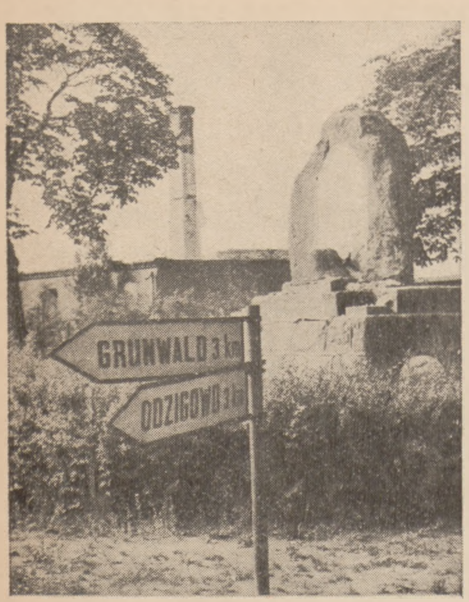
Wydaje się, że te zarzuty zrodziły się z nieporozumienia. Winien był nie felieton „sam w sobie", lecz nieumiejętni felietoniści, którzy go wypaczali. Czy można żądać od komedii, by się stała krwawą tragedią, od noweli lub noweletki, by przemieniła się w powieść psychologiczną, od drobnego wiersza lirycznego, by nabrał perspektyw poematu, od motyla, by się przeistoczył w orła? Nie. A jednak w komedii owionie nas nierzadko tragizm; wiersz liryczny może tchnąć filozofią; w nowelce może być więcej znajomości duszy ludzkiej, niż w poniektórych powieściach; w motylu może nas zastanowić jego urok i zagadka istnienia. Tak też rzeczy mogą się mieć i z felietonem.

Anatol France i Proust zaczynali swą twórczość od felietonu Ich felietony były właśnie „beztematowe", o wszystkim i o niczym: o lasku Bulońskim i oświetleniu gazowym, o teatrze i polityce, o najnowszej książce i ploteczkach z Izby Deputowanych, o socjaliźmie i wyborach, o aferze jakiej się ktoś z możnych tego świata dopuścił, i o prawdziwych potrzebach społecznych. W Rosji Dostojewski, pisarz wyjątkowo odczuwający tragizm i trudność życia, pisywał felietony, które budziły gwałtowniejszą nieraz polemikę niźli jego powieści. W Anglii współczesny nam Aldous Huxley jest mistrzem felietonu. Bernard Russel, filozof, moralista i socjolog, jest nie mniej wielkim felietonistą. Jako motto do swych „Szkiców sceptycznych", które są essayami na pograniczu felietonu, użył on sentencji Woltera: „aimer et penser — c'est la vèritable vie des èsprits" („kochać i myśleć — oto prawdziwe życie szlachetnego umysłu"), i można by powiedzieć, że w samej rzeczy rzetelny felietonista musi kochać i myśleć. Tegoż zdania był felietonista Chesterton.

W Polsce uprawiał felieton w swoim czasie Sienkiewicz, i każdy jego felieton elektryzował opinię publiczną. „Kroniki tygodniowe" Prusa, omawiające wszelkie możliwe kwestie, od najdrobniejszych do najważniejszych, były felietonami. Felieton Aleksandra Swiętochowskiego w „Prawdzie" p. t. „Liberum veto" stał się wyrocznią, na którą co tydzień czekało myślące społeczeństwo. Zwłaszcza w owych latach pozytywizmu polskiego i szaleństw cenzury carskiej felieton odegrał u nas doniosłą rolę twórczą, dzięki swym zdolnościom do sugestii, niedomówień i aluzyj, w lot chwytanych przez czytelnika. Czy trzeba jeszcze wymienić Zapolską z jej majstersztykami felietonowymi we lwowskim „Słowie Polskim", Nowaczyńskiego, Makuszyńskiego, Boya - Zeleńskiego i Słonimskiego, aby dowodzić, że pod piórem uczciwego pisarza felieton może się wznieść na nie byle jakie wyżyny?

Cóż to więc jest felieton? Być może słuszność ma Bernard Shaw, który o felietonie powiada tak: „Trzeba odnaleźć jakąś sprawę ważną i godną wypowiedzenia się o niej, a następnie wypowiedzieć się w sposób możliwie frywolny; istota zaś żartu tkwi w tym, że trzeba to zrobić zupełnie na serio". Wedle tej niełatwej i wielce ambitnej recepty „Tydzień" będzie się starał układać swe felietony. Czytelnicy są proszeni o sąd i pomoc w postaci rad, uwag i wskazówek.

Jerzy Wyszomirski



Pod Grunwaldem
rośnie polskie żyto

Udajemy się w piękną podróż. Z Warszawy przez Modlin, Zakroczym, Płońsk i Mławę dojeżdżamy do Pepłówka, który do września r. 1939 był ostatnią graniczną miejscowością polską. Parę kilometrów za nim — w Napierkach (Napierken) zaczynały się Prusy Wschodnie. Stąd na Nibork (Neidenburg), Olsztynek (Hohenstein), Ostród (Osterode) i Pasłęk (Preussisch Holland), dotrzemy do Elbląga (Elbing) i do Tolkmicka (Tolkemit), które leży jako cichutki port rybacki już nad samym morzem; z Tolkmicka zawrócimy na Malbork (Marienburg), gdzie być może niezadługo powstanie w dawnym zamku krzyżackim muzeum wojenne, mające być świadectwem okropności niemieckich i naszej mocy duchowej... Ale o tym wszystkim opowiemy kolejno i szczegółowo. Tymczasem, jako, że zbliża się dzień 15 lipca—dzień Rozesłania Apostołów, kiedy to przed 536-ciu laty na polach grunwaldzkich stoczyła się jedna z najkrwawszych i największych bitew średniowiecza—od Tolkmicka skręćmy pod Olsztynkiem na lewo, dojedźmy do Grunwaldu i Tannenberga, wedle drogowskazu, który wielkimi literami wytknie nam drogę. W dalszej podróży będziemy oglądali ten kraj ciekawy i czynili różne spostrzeżenia. Narazie kilka orientacyjnych faktów historycznych.

Niegdyś, jak wiemy, żyło tu pogańskie plemię Prusów, nic wspólnego z Prusakami i Niemcami nie mające, przeciw któremu nierozważny Konrad Mazowiecki sprowadził w r. 1226 Zakon Krzyżacki. Książęta dzielnicowi polscy nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa i zaborczości Krzyżaków, wypędzonych właśnie rok przedtem (r. 1225), z powodu tych swoich dążności, z Węgier przez rozumnego króla Andrzeja II. Jeden tylko książę gdański — Swiatopełk Wielki (1220—1266) przejrzał intencję Krzyżaków i stał się ich nieprzejednanym wrogiem, sprzymierzając się przeciw nim z Prusami we wspólnej walce i obronie niezależności. Syn jego wojowniczy Mestwin II szedł śladami ojca, lecz nie mając potomstwa, darował nieroztropnie (r. 1273) część swego księstwa Brandenburgii, resztę zaś — z Gdańskiem — księciu Przemysławowi Wielkopolskiemu. Ten dzielny władca i polityk objął w posiadanie Gdańsk, Oliwę i Elbląg, lecz przedwczesna śmierć jego (r. 1296) położyła kres przewadze polskiej nad Bałtykiem. Nastały smutne czasy Wacława Czeskiego, walki Łokietka o dzielnicę krakowską, i w tym zamęcie Krzyżacy opanowali zdradziecko Gdańsk (r. 1308), dokonawszy tu straszliwej rzezi Polaków. Odtąd nic już nie stało na przeszkodzie ekspansji Zakonu w Prusiech i dalej — na północo-wschód, na Zmudzi i Inflantach. Utwierdziła się moc państwowości krzyżackiej, świetnie zorganizowanej, niezawodnej w swych metodach i żelaznej konsekwencji. Musiał nastąpić Grunwald... Ale i on jeszcze nie zakończył zmagań się polsko-krzyżackich. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk, po trzynastoletniej wojnie z Krzyżakami, odzyskał (r. 1466) znaczniejsze obszary Pomorza. Wszelako t. zw. Prusy książęce czyli Wschodnie, te właśnie gdzie leży nasz Olsztynek, gdzie się rozciągają pamiętne pola grunwaldzkie, pozostały w rękach krzyżackich. Tu się legły początki królestwa Pruskiego Hohenzollernów, którzy z pokolenia na pokolenie pracowali na zgubę Polski.

Tu, w okolicach Olsztynka, stoi jeszcze olbrzymi monument — „kolosalny“, jak wszystko co Germania chciała wykonać: jest to pomnik — grobowiec Hindenburga. Jedna z jego wież leży w gruzach, wysadzona roku zeszłego przez ustępujących Niemców. Ale posępny ogrom czerwonych murów wznosi się jeszcze; przystąpimy dopiero do ich rozbiórki, aby śladu pychy germańskiej na ziemiach naszych nie zostało. Pomnik zbudowany był r. 1934 przez Hitlera, aby wyniośle mówił Germanom, że ta ziemia jest ich; aby groził stąd Słowiańszczyźnie — ujęty w kamienny symbol germańskiego „Drang nach Osten“. Tak, ów Hindenburg — feldmarszałek von Beneckendorff und Hindenburg, urodzony i wychowany w polskim Poznaniu, pochodził z tej samej generacji duchowej wrogów Polski i Słowiańszczyzny, co Ulryk von Jungingen, Albrecht Brandenburski, Fryderyk II Pruski, Bismarck i Wilhelm II, a potem przewyższający ich wszystkich zaciekłością Hitler, Himmler, Goering. Wszyscy oni mieli w sobie tę samą krew jadowitą, co ów Kuno Lichtenstein, którego tak pilnie wypatrywał w wirze bitwy grunwaldzkiej stary Maćko z Bogdańca, aby mu zapłacić za jego okrucieństwa.

Hindenburg był czczony przez Niemców, bo w przekonaniu ich zmazał hańbę grunwaldzką r. 1410. On to w pobliżu tych samych pól, gdzie legł Ulryk von Jungingen, zadał klęskę carsko-rosyjskiej armii generała Samsonowa. Było to w ostatnim tygodniu sierpnia r. 1914, zaraz po wybuchu pierwszej wojny światowej. Tę olbrzymią bitwę, w której padło 150 tysięcy Rosjan, nazwali Niemcy bitwą pod Tannenbergiem, aby ta nazwa przysłoniła na zawsze imię Grunwaldu. I przy owym drogowskazie, który nas wiedzie do Grunwaldu, stoi głaz z napisem niemieckim, głoszącym tylko pamięć Tannenberga. I na polach grunwaldzkich nie masz takich pomników, jak monument Hindenburga. Tylko na uboczu, w cieniu wysokopiennych sosen, niewidoczny spoza nich, sterczy kamień pleśnią zarosły, a na kamieniu zatarte na poły litery mówią, że tutaj „śmiercią bohaterską“ poległ Ulryk von Jungingen w obronie „ducha niemieckiego i prawa niemieckiego“ („für das deutsche Wesen und das deutsche Recht“). Możliwe, że w tym miejscu pół tysiąca lat temu nad trupem wielkiego mistrza, powalonego polską włócznią, król polski wyrzekł swe filozoficzne słowa: „Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata“. A podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie św. Brygidy o Krzyżakach, dodał: „Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa“.





Bo sprawiedliwość dziejowa iści się. Jeśli można mówić o powtarzalności historii, o „kołobiegu“ wydarzeń, musimy stwierdzić, że jesteśmy świadkami powtarzania się wielkiego widowiska dziejowego. W r. 1945 historia przerzuciła olbrzymi łuk nad obszarem pół tysiąca lat i powiązała nim fakty. Ich wymiary są naturalnie różne, · kilkunastu tysięcy trupów krzyżackich nie można porównać z milionowymi ofiarami wojny obecnej, ale istota wydarzeń jest ta sama: pogrom świata germańskiego, dokonany przez świat słowiański— tym razem ostatecznie. Jeśli bowiem Grunwald był triumfem Słowiańszczyzny, zjednoczonej w wysiłku bojowym pod przewodem Polski, to rok 1945 jest również triumfem Słowiańszczyzny, na której czele tym razem stanęła Rosja.

I dzięki temu odwetowi historii, na równinach, gdzie wznoszono pomniki Hindenburga, orać ziemię może osadnik polski. Przybył tu taj z pod Rypina, jak sąsiad jego przybył jako repatriant z Wołynia, a inny jeszcze — z Wileńszczyzny. W zgodnym trudzie uprawiają ziemię, do której mają wiekowe prawa—przyrodzone i ludzkie, nie takie jak te, co przywłaszczył je sobie zaborczy Ulryk von Jungingen i jego spadkobiercy z ducha. Jasnością swego pługa odwala polski rolnik skiby historycznej ziemi właśnie dokoła tych sosen i tego muru, za który się kryje kamień mogiłny mistrza krzyżackiego, i za którym rozpierzchają się na zawsze cienie złowieszczej przeszłości. Nad nimi unoszą się dziś inne duchy, a śród nich duch rycerzy bez zmazy— Zawiszy Czarnego, jednego z bohaterów grunwaldzkiego pol ojowiska.



Tak się dzieje w niewidzialnych przestworzach. Na ziemi, śród żywych ludzi, poczyna kwitnąć codzienna praca zdobywcza. Nie na próżno nazywają oni tu siebie „pionierami“. Pionierskie rzeczywiście jest powołanie pierwszego pokolenia polskiego, które powróciło do tych stron. Pomówimy o tym następnym razem . Tymczasem popatrzmy jeszcze na te pola rozległe. Przecina je dziś przez środek droga, wysadzona gęsto drzewami. Z jednej jej strony ciągnie się gładka równina, na której zdala widnieją sosny, otaczające kamień wielkiego mistrza. Z drugiej strony drogi grunt wznosi się faliście, aż na widnokręgu przechodzi w pagórki. Inny był tu nieco krajobraz w r. 1410. Z którejś strony rosły lasy, i w nich to, na krawędzi, zatrzymały się zastępy polskie w oczekiwaniu na nieprzyjaciela. Otworzyła się przed nimi na milę przestrzeń polna — ta sama, na którą teraz patrzymy, przecięta dziś zadrzewioną drogą. Być może, że z owych pogórków, jakie widzimy na horyzoncie, zstępować poczęło wojsko krzyżackie, Długosz bowiem a za nim Sienkiewicz, powiadają, że z dołu, z polskiego obozu widać było doskonale groźną ławę zakutych w żelazne zbroje koni i rycerzy krzyżackich. I na tej równinie starli się jedni i drudzy, nad nią rozległ się „jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny“ pieśni „Bogurodzica“. I nad nią odzywać się dzisiaj wydaje echo tych słów, którymi Sienkiewicz zamknął swą epopeję: „Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy“. I na równinie tej pług polski orze, i faluje ona łąkami, z których zbierze się pachnące siano.

A teraz w dalszą drogę.

J. W.

***

JAN BRZECHWA

ŚPIOCH



Żył sobie raz chłop na świecie,
Mieszkał w Smorgońskim powiecie,
A zwał się Drzemalski, Roch,
Największy pod słońcem śpioch.

Kto inny sieje i orze,
A on się wyspać nie może,
Od świtu śpi aż po świt:
Po prostu hańba i wstyd.

Powiada doń żona: „Rochu,
Zagrzałam ci miskę grochu“.
Roch mlasnął, zasnął i śni
Przez nowych czternaście dni.

Przychodzi świekra i woła:
„Wstań, Rochu, idź do kościoła!“
A Roch pod pierzynę — hyc,
I śpi jakby nigdy nic.

Przyjechał starosta z miasta,
Powiada: „Wstań i basta“.
Roch na to: „Nie mogę wstać,
Bo bardzo chce mi się spać“.

Aż śmierć się zbliża po trochu:
„No, wstawaj — powiada — Rochu,
Najwyższy na ciebie czas,
Byś wreszcie z barłogu zlazł“.

Rochowa snać Rocha kocha,
Chce sobą zasłonić Rocha,
Dzieciaki za matką w szloch:
„Nasz tato, nasz Roch, nasz śpioch!“.

A chłop uprzejmie śmierć wita:
„Wyśpię się wreszcie do syta!“
I zasnął na zawsze Roch,
Największy pod słońcem śpioch.

O przyjemności przyspieszenia

Kpt. pilot Zbigniew Burzyński



Wzniesienie się balonu, sporządzonego przez braci Montgolfier w Paryżu w 1783 r.

Można z łatwością rozróżnić wrażenia, jakie na nas wywiera osiągana szybkość. W każdym niemal wypadku towarzyszy jej pewien hałas, zależny od środka lokomocji. Jeżeli hałas ten nie jest zbyt wielki — może być przyjemny, zwłaszcza gdy wibracje zmieniają regularnie ton.

Co więcej; gdy skutkiem monotonności dźwięku towarzyszącego szybkości, zapominamy o jego istnieniu — jesteśmy skłonni „wyławiać" z szybkości inny dźwięk, który sprawiałby zadowolenie. Gdy zapomnimy na przykład o szumie silnika samochodowego, z przyjemnością wsłuchujemy się w dźwiek opon toczących się po asfalcie.

Gdy jednostajna szybkość ruchu po powierzchni ziemi trwa zbyt długo — staje się męcząca. Nuży pęd powietrza, obserwacja mijanych przedmiotów terenu, hałasy i wstrząsy. Znajdując się w roli pasażerów i nawet kierowców, zasypiamy zmęczeni.

Na okręcie płynącym po spokojnym morzu, czy też samolocie w spokojnym powietrzu, wzrok odpoczywa gdyż nie ma migających przedmiotów terenu. Nie ma również wstrząsów, które najbardziej nużą w komunikacji lądowej. Zastępuje je łagodna chwiejba i wibracje, do których łatwiej się przyzwyczajamy.

Można uogólnić: skutki dużej szybkości są zawsze miłe, jeżeli podróż nie trwa zbyt długo. Mówimy z głębokim zadowoleniem i przekonaniem:

— Ach, jak szybko przybyliśmy na miejsce! Było wspaniale.

Lecz rzecz się ma inaczej, gdy dopiero nabieramy szybkości, gdy doznajemy jej przyrostu.

Przyrost szybkości, czyli przyśpieszenie, trwa o wiele krócej niż jednostajna szybkość podróżna. Jest w niem coś szczególnego. W wypadku przyśpieszenia dochodzi doznanie fizjologiczne, polegające na bezwładności organów wewnętrznych. Doznanie to w większości przypadków jest przyjemne i występuje najwyraźniej przy skoku, lecz nawet i piechur, przyśpieszając kroku, może je odczuć. Dlatego skoki z wysokości byłyby wielką i szczerą przyjemnością gdyby nie obawa przed przykrym zetknięciem się z twardą ziemią i gdyby nie zbyt wielki pęd powietrza. Z powodu tego właśnie doznania fizjologicznego chcielibyśmy przyśpieszać jak najdłużej.

Przyśpieszenie ograniczone w wartości, a dostatecznie długotrwałe, dawałoby największą przyjemność. Wyobraźmy sobie samochód na idealnej autostradzie opasującej glob ziemski. Gdyby samochód ten mógł utrzymać swe przyśpieszenie w ciągu szeregu godzin i posiadał idealne opony, doznawalibyśmy przyjemności, bez żadnych obaw o zdrowie, dopóki koła nie przestałyby przylegać do nawierzchni i przyśpieszenie ustałoby, gdyż doszłoby do wartości przyśpieszenia ziemskiego. Jakie byłyby nasze odczucia w chwili zbliżania się do takiej szybkości, gdy zdaje się, że już, już moglibyśmy pomknąć w przestrzeń międzyplanetarną?

Wydaje się, że czulibyśmy dwojako: i obawę o to, co będzie potem, i żal, że nie można doznać dalszych sensacji. To drugie uczucie byłoby napewno silniejsze.

Można powiedzieć:

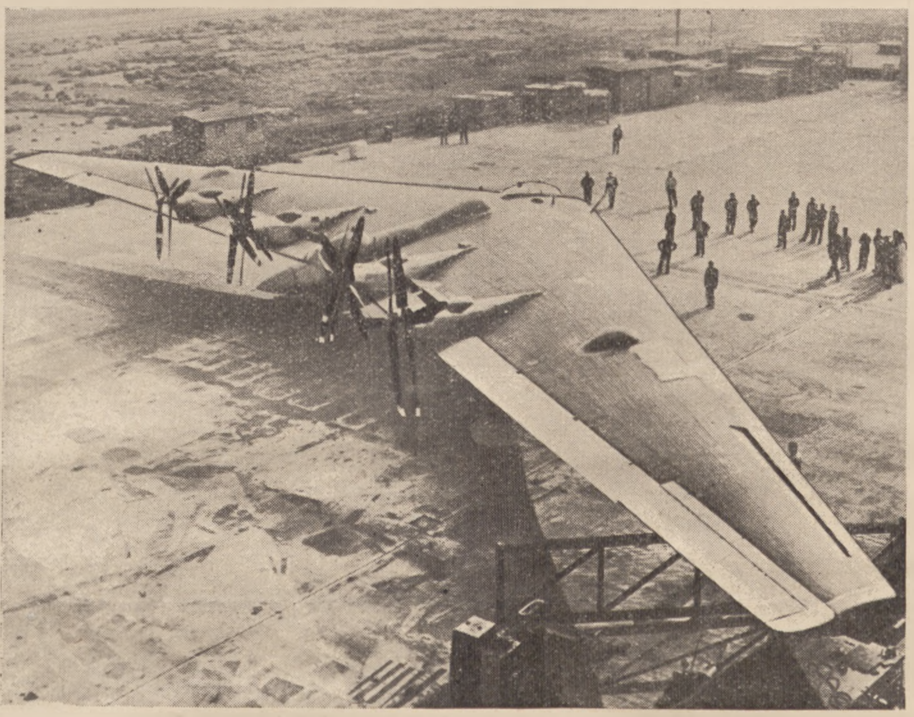
— Przyśpieszenie jest przyjemniejsze od szybkości jednostajnej o ile nie przekracza pewnej granicy, powyżej której staje się przykre, pozbawia świadomości i nawet może zabić.

Zauważy ktoś:

dzinę, była uważana za zawrotną. Dzisiaj samoloty dochodzą do szybkości 1000 km/g. Potrafimy wystrzelić małokalibrowy pocisk z szybkością początkową 7000 km/g. Posługując się energią atomową, czy nie zdołamy rozwinąć szybkości około 40.000 km/g. (czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę), która jest potrzebna, by opuścić glob ziemski?

Wierzmy, że tak. Jesteśmy zawsze skłonni wierzyć w rzeczy przyjemne. Może to tylko kwestja czasu nie większego od tego, który nas dzieli od „zawrotnego" maksimum 30 km/g.

Lecz biorąc rzecz poważniej, o cóż właściwie chodzi?



Bombowiec amerykański „Skrzydło" typu XB — 35
(M. S. I. S. — Amerykańska służba informacyjna)

Wiedza i technika postępują milowymi krokami i przecież ciągle powiększamy szybkość. Czy nie zaczniemy niezadługo „wyskakiwać" poza sferę przyciągania ziemi?

Cóż można wiedzieć?

Lat temu sto, szybkość pociągu, wynosząca trzydzieści kilometrów na go-

Może o to? Chęć poznania jest zjawiskiem przyrodzonym człowiekowi. By poznać i poznawać, musi się podróżować. By nie tracić czasu na pokonywanie przestrzeni, należy przyśpieszać. Widzimy więc, jak przyroda idzie nam na rękę: podróżując w celach poznania, doznajemy przyjemności przyśpieszając.

Znów w domu

Odbudowując ognisko domowe, trzeba zrozumieć zasadniczą różnicę między starym i nowym domostwem. Wojna zmiotła z powierzchni ziemi domy, będące dorobkiem pokoleń. Z roku na rok gromadził się balast ubran, sprzętów, naczyń. Cały ten dorobek trzeba było pielęgnować, konserwować, wtajemniczać się w zawiłe właściwości metali, kryształów, najrozmaitszych tkanin. Paradoksem trąci twierdzenie, że pozbycie się tego przymusowego ładunku przyniosło ulgę. A jednak tak jest. Wyzwoliliśmy się od niewolnictwa przedmiotów martwych, użyteczność była mocno problematyczna... Dziwne wydaje się dzisiaj, że prowadzenie domu złożonego z 4 osób wymagało tak wiele zachodu. Ktoś jeden ten dom „utrzymywał", ktoś inny „prowadził", a jeszcze ktoś inny „wykonywał", a każde gospodarstwo z osobna było małą wytwórnią.

Dziś nas na to nie stać. Mało jest kobiet, któreby mogły zajmować się wyłącznie domem.

W rubryce „Znów w domu" nie będziemy się zajmować poszczególnymi przepisami na „frykasiki", które przyrządzane godzinami, mają rozpędzić czyjś zły humor lub nudę na kilkanaście minut. Będę podawała wskazówki, dotyczące poszczególnych działów gospodarstwa, aby najprostszą drogą doprowadzić do celu i oświetlić całość zagadnienia. Oprę się na produkcji zbiorowej i spółdzielczej, której fundamentem muszą być potrzeby naszych domów.

To, że kobieta przebywa więcej poza domem, niż w domu, nie powinno obniżyć kultury życia codziennego do poziomu jaskiniowców.

W następnym numerze „Dom i kuchnia zbiorowa".

TROCHĘ ROZSĄDKU

Kupiłam żurnal. Olśniła mnie barwna okładka i urocze sylwetki modelek. Wertowałam go do późnej nocy, gorączkowo przerzucałam efektownie wypełnione kartki. Zapał mój gasł! Niestety — nie jestem rudowłosym wampem, o melancholijnym spojrzeniu wielkich źrenic, o kolorze dopasowanym do koloru paska czy pantofelków.

Trzeba przyznać, że moda dzisiejsza wypłatała nam psikusa. Właśnie, teraz, kiedy prawie wszyscy musimy się zaopatrzyć w zasadniczą garderobę, przywędrowały z zagranicy figlarne falbanki, zakładeczki, plisy, sute klosze z lekkich jak mgła jedwabi. Wystawy zawalone są tymi cudami. Jedwabie francuskie, węgierskie, czeskie przyciągają jakością i odpychają ceną. Dzisiejsza sukienka wymaga kilku metrów luksusowego jedwabiu, pierwszorzędnej krawcowej (robota 3 tys. zł) i noszenia tylko „od święta". A płaszcze? Miękka wełna koloru kości słoniowej, nienaganny klosz, skromne epolety, bez futra przy twarzy, ale za to szerokie rękawy, obłożone od łokcia futrem.

Kobieta, której budżet nie pozwala na takie wybryki, aby nie znaleźć się poza nawiasem „Mody", zdana jest na swój własny gust i pomysłowość.

Barbara Malanowicz

Problemy masowego przeszkolenia kadr specjalistów przemysłowych

Prezes Centralnego Urzędu Planowania Czesław Bobrowski w rozmowie z wysłannikiem „Tygodnia" informuje:

I. Bezrobocie kobiet jest zjawiskiem charakterystycznym dla obecnego okresu, przy braku bezrobocia mężczyzn. Przyczyna leży w tym, że procent kobiet pracujących zawodowo zwiększył się od czasów przedwojennych, natomiast kwalifikacje zawodowe kobiet są naogół mierne, nie przystosowane do zapotrzebowania, albo żadne.

Pracujące kobiety nie będą mogły pomieścić się w tradycyjnych zawodach kobiecych. Kobiety muszą wkroczyć na tereny pracy dotychczas dla siebie obce. Należy przystąpić do masowego przeszkolenia kobiet w zawodach dla nich nowych, których wykonywanie nie jest jednak sprzeczne z ich naturą.

W tym kierunku poszły już kobiety zarówno na zachodzie—w Anglii, Ameryce, jak i w Z. S. S. R. (Kobiety szoferki, traktorzystki, pomocnicza służba w lotnictwie i t. d.).

Na tym odcinku, jak i na innych, musimy dotrzymać kroku krajom przodującym w odbudowie.

II. Niedobór fachowców wysoko kwalifikowanych trzeba wyrównać masowym przeszkoleniem sił pomocniczych. Nasza organizacja pracy wymagała zatrudnienia zbyt wielkiego odsetka fachowców wysokokwalifikowanych. Nie wynikał stąd wysoki poziom produkcji. Przeciwnie. W krajach na dużym poziomie uprzemysłowienia (U.S.A.) stosunek fachowców do średnio wyszkolonych jest dziesięciokrotnie mniejszy, niż u nas. Stąd nieproporcjonalnie duże zapotrzebowanie na fachowców, któremu sprostać nie będziemy w stanie. **Nie ruszymy naszego przemysłu z miejsca,** dopóki nie wyszkolimy w szybkim tempie dużej ilości sił pomocniczych, które będą zastępowały brak sił wysokowykwalifikowanych, pracując pod ich kierunkiem.

III. Liczna kadra robotników uczy się zawodu wprost przy warsztatach pracy. Z chwilą obejmowania przemysłu w niektórych jego gałęziach (np. we włókiennictwie) mieliśmy zaledwie 10% dotychczasowych załóg. W tych warunkach trzeba było uzupełnić brakujące 90% ludźmi zupełnie nowymi, których należało „rzucić na głęboką wodę", każąc im szkolić się już w trakcie pracy produkcyjnej przy warsztatach przemysłowych.

Nie jest to sposób tani. Powodował niejednokrotnie straty. Ale nam ten sposób opłacił się, bo inaczej **fabryki nie ruszyłyby wogóle.**

IV. Jednocześnie szkolimy fachowców wysokokwalifikowanych. Jest to praca na długiej fali, w przeciwieństwie do wyżej wymienionych—krótkofalowych. Mimo wyszkolenia sił pomocniczych (I, II, III) zapotrzebowanie na fachowców wobec rozbudowy przemysłu będzie obecnie większe, niż przed wojną.

Każdy przemysł szkoli sobie fachowców we własnym zakresie. Często dawała tu początek specyficznie polska twórcza improwizacja. Tak np. ze 150 kolejarzy — maturzystów, zapoczątkowano Akademię Komunikacyjną. Za niespełna trzy lata będziemy mieli zapewniony stały dopływ inżynierów komunikacyjnych. W górnictwie, gdzie braki są największe, przystąpiono do systematycznego szkolenia fachowców, poczynając od materiału zupełnie surowego, bo od chłopców wiejskich, których, bierze się do specjalnych burs i szkoli od początku. Spośród najzdolniejszych kopalnie nasze będą miały sztygarów i inżynierów górniczych.

W ten sposób przystosowujemy strukturę zawodową ludności do potrzeb uprzemysłowienia Polski.

DZIEJE RODZINY (fragment powieści)

Pocisk trafił w sam róg ulicy. Gdy minął huk tego uderzenia, długo jeszcze panowała śmiertelna cisza i pustka. Zabici bowiem nie poruszają się już ani wzywają pomocy, a żywi ukryli się w piwnicach.

Narożny dom, w którym mieściła się piekarnia, stracił frontową ścianę. Przed chwilą jeszcze żołnierze załadowali świeży chleb na powózkę i już ruszyli z miejsca, gdy warkot samolotu kazał im pośpiesznie wjechać na dziedziniec, pod wielki stary orzech. Ten fragment widzialnego świata, z dwupiętrową kamienicą prowincjonalnego miasta, z rzędem pięknych lip na chodniku, zmienił się w czasie tej sekundy wybuchu w sposób doniosły, acz prawie niedostrzegalny. Świat trwał. Zaszły pewne zmiany w układzie dotąd niewzruszonych przedmiotów. Korona drzewa rozmiotła swe gałęzie, i kikut pnia sterczał przed zburzoną ścianą. Rozkrzyżowany człowiek leżał na jezdni. W odsłoniętym mieszkaniu pierwszego piętra fotografie rodziny Walickich patrzyły poważnie w nagle rozwartą przed nimi przestrzeń. Były tam dwa duże portrety żony i męża, powiększenia fotograficzne zamówione u wędrownego akwizytora w okresie poślubnym. Młoda kobieta w ażurowej czarnej bluzce, z riuszką pod szyją i medalionem na ściśniętej piersi, była blondynką o dziewiczej i trochę tępej twarzy. Walicki, w kołnierzyku o sterczących rogach, w plastronie gotowego krawata i marynarce w prążki, z cienkimi wąsami, chudy, wyglądał jak wypłosz. Spojrzenie miał zuchwałe, uśmiech drwiący. Nie był jeszcze wówczas właścicielem kamieniczki, ani nowocześnie urządzonej piekarni. Dzierżawił jedynie stary piec w głębi tej samej posesji, a doświadczenia tego ciężkiego życiowego startu zrodziły ów drwiący uśmieszek na jego twarzy.

Wokół portretów, większe i mniejsze zdjęcia fotograficzne świadczyły, że Emilia wiele rodziła. Świadczyły także o szybkiej ogładzie i wzniesieniu się rodziny. Nie było to przejście do innej sfery społecznej, lecz przesunięcie się zainteresowań i potrzeb, rozkwit indywidualności i charakterów. Stroje stawały się swobodniejsze, pozy mniej wymuszone, błysk inteligencji rozjaśniał twarze. Wreszcie grube i błyszczące kartony zakładów fotograficznych ustąpiły miejsca zdjęciom amatorskim, z których wynikało, że nie wszystkim niemowlętom w poduszkach dane było powiększać galerię rodzinną w okresie pierwszego raczkowania, pierwszej szkoły i pierwszej Komunii Świętej. Narodziny i zgony. Dwóch synów i dwie córki ostało się na placu wokół portretów rodziców. Doktorowa, najstarsza, umieszczona obok matki, żona miejscowego chirurga, mogła wywołać zdumienie nawet najbliższych znajomych. A, do diabła, co ona tu robi? Córka tych piekarzy? Niemożliwe...

W chwili wybuchu Waliccy wychodzili z piekarni w suterynie. Zamiast się cofnąć, pobiegli na górę, otworzyli z trudem drzwi do owej bawialni — i stanęli w progu wobec bezmiaru pogodnego nieba i pustej ulicy. Nie postąpili już ani kroku naprzód, zdumieni, że wszystko jest na miejscu, tylko nie istnieje już frontowa ściana z oknami, lustrem i żardinierką, pełną kwiatów. Biały obłok pyłu rozpływał się jeszcze zwolna w tym miejscu. Gdy tak stali i patrzyli obok swoich dawnych portretów, zwróceni do oniemiałego i zastygłego nagle świata, widziało się na ich twarzach wyrazisty ślad czasu, który upłynął. Sprawy całego żywota ukształtowały ich oblicza poprzez wszelkie radości i bóle, aby zamknąć się wreszcie w wyraz spokoju, pozwalającego przyjąć zwyczajnie najgorsze zrządzenia losu. Walicki nie nosił już wąsów. Na twarzy Emilii widniał gniew, duma i upór.

Zamknęli szybko te drzwi, które już niczego nie osłaniały.

— Trzeba — rzekła Emilia, gdy znaleźli się w kuchni — wyporządzić starą piekarnię. Jeżeli nas zniszczą tu, przeniesiemy się tam.

— Dobra!—rzekł mąż, bębniąc w zamyśleniu palcami po stole: — Ale ja naprawię uszkodzenia w bawialni. Spodziewam się, że chłopcy z Warszawy też zjadą. Gdzie ich pomieścimy? Zapytam zaraz tego starego fiksata Ratalskiego, czy mają na składzie cegły. Jak tak dalej pójdzie, założę się, że zabraknie cegieł. Pochowają je, ceny pójdą w górę.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby nie chcieli zbudzić kogoś śpiącego obok. To Emilia wydawała zlecenia. Walicki słuchał jak posłuszny wykonawca, z roztargnieniem zerkając pod okno, gdzie na niskim stoliku leżał rozłożony rocznik jakiejś starej ilustracji. Namiętny czytelnik, pragnął wrócić do swej lektury i wstydził się, wiedząc, że chwila jest nie po temu. Oboje byli praktyczni, lecz i zdziwaczali, jak ludzie żyjący na uboczu. Nie mówili o wojnie, a tylko o tym jej okruchu, który w nich ugodził. Znosili różne przedmioty do schowania w starej piekarni i porzucali je zaraz, mówiąc: — ale po co to? Emilia wyliczała głośno, dla pamięci:

— Bielizna, koce, trochę żywności... Nie zapomnijmy o lampie.

Mąż przyniósł z sąsiedniego pokoju starą lampę naftową, oddawna nieużywaną, i to pchnęło znów jego myśl w pożądanym kierunku.

— Przypominam sobie, kiedyśmy ją palili przez całą noc... Czy to nie dziwne? Akurat natrafiłem w tym tygodniku, psiakość, na rok ośmnasty i rząd lubelski.. Wszystko tu jest, z fotografiami.

— Tak, tak... słuchaj no — przerwała Emilia — czy nie trzeba też przenieść trochę statków do wypieku?

Uważała, że dom może spłonąć do fundamentów, i wówczas nic nie zostanie z nowoczesnej piekarni w suterynie. Były wszelkie szanse, że stary budynek w głębi dziedzińca ocaleje, i tylko to im zostanie. Ale, kiedy poleciła, aby się tym zajął sam czeladnik, Czyżewski, mąż machnął tylko ręką.



— Nie licz już na Czyżyka, leży martwy pod sklepem.

— Jakto?

— Trafiło go, biedaka.

— Ale ty!—rzekła Emilia — zamiast iść tam, zobaczyć, zająć się...

— Poco? — zakończył od razu: — widziałem. Zresztą, zaraz tam zejdę.

Emilia umilkła i zmrużywszy powieki długo spoglądała na męża, zdumiona. Po raz pierwszy od chwili wypadku przyszło jej na myśl, że stało się coś strasznego i ważnego, że nawet w Fabianie już się coś zmieniło. Walicki, zakłopotany, schwycił czapkę i wyszedł. Ze schodów dobiegał wielki ruch i ożywienie. Dom pełen był ludzi, swoich i obcych, przejezdnych, którzy wracali do Warszawy, i warszawiaków, którzy jechali gdzieś dalej, do rodziny. Znoszono toboły na dziedziniec. Jakaś młoda kobieta kołysała niemowlę w objęciach podczas gdy jej mąż układał w dziecinnym wózku bagaże, wyglądające bardzo skromnie.

— Co się dzieje? — spytał Walicki przystając w przejściu.

—Idziemy dalej, tu nie jest bezpiecznie

— Jedna bomba niczego nie dowodzi

— Ale, widzi pan, tu jest piekarnia „Oni" wszystko wiedzą. Pan wypieka dla wojska, a oni chcą zniszczyć dostawy.

— Bzdura! — krzyknął piekarz, czerwieniejąc ze złości.

Żołnierze, którzy się tu schowali z powózką pełną chleba, wyjechali teraz z cienia wielkiego orzecha, wołając: — z drogi, z drogi! Człowiek w czapce kolejarza, położywszy dłoń na piersi, rzekł z przejęciem:

— Sam widziałem, na własne oczy jak wczoraj zbombardowali piekarnię w małej wiosce. A cóż dopiero tutaj!

Na chodniku, za sztachetami ogrodzenia ukazał się mały pochód: kobieta w białym fartuchu z opaską Czerwonego Krzyża i dwóch mężczyzn z noszami przykrytymi gałęzią lipy. Walicki, zaskoczony, otworzył usta.

— Czy to mój czeladnik? Poczekajcie, idę z wami!

I przyłączył się do konduktu.

Pola Gojawiczyńska

NA POCZĄTKU NIE BYŁO NIC...

Istnieją pewne kategorie teraźniejszej inteligencji (w swoim mniemaniu zapewne, elity intelektualnej), podkreślające z upodobaniem, że świat się od nich zaczął...

Że dotąd w Polsce nie było nic — ani radykalizmu, ani demokracji, ani literatury, sztuki, nauki, władzy sądzenia, rozróżniania smaków...

Że panował mniej więcej stan, uwidoczniony bodaj w Jadżur Wedzie, świętej księdze Hindusów:

„Na początku nie było bytu ni niebytu,
Ziemi, słońca nie było, ognia ni ciemności —
Nic nie było..."

Nie wiem, w czyim interesie leży szerzenie przeświadczenia, że Polska współczesna wybuchła czy wystrzeliła jak Atene z głowy Jowisza, uzbrojona w szyszak i tarczę, choć tego szyszaka nikt jej nie wykuwał.

Sądzić by należało, że w dobrze zrozumianym interesie współczesnej demokracji w Polsce było by szerzenie przeświadczenia, że świat pojęć, realizujących się obecnie w życiu polskim, ma jednak swoją genezę i historię na gruncie miejscowym; że nie jest jakimś towarem importowanym, lecz owocem dwuwiekowych co najmniej wysiłków polskiej myśli demokratycznej.

Tymczasem pewna ilość namaszczonych przez swoje koterie oświecicieli i iluminatorów zbliża się do współczesnego życia polskiego, które ma bądź co bądź swoją bogatą i tragiczną historię, z laską cudów mojżeszowych, mającą wykrzesać strumień wody żywej — z kamienia, z niczego — z czegoś co dopiero ma zacząć żałosną historię swego dotychczasowego bezistnienia.

Nic więc dziwnego, że te cudotwórcze zabiegi, obciążone nieznaną dotąd na gruncie miejscowym porcją arogancji i szamańskich gestów, nie budzą bynajmniej zbiorowego entuzjazmu ani aprobaty: wywołują natomiast skutek wręcz odwrotny w stosunku do zamierzonego celu.

Tak zrozumiana pedagogia społeczna może mieć nieobliczalne i szkodliwe dla najpoważniejszych zadań życia społecznego następstwa.

Na boisku bowiem historycznego wysiłku myśli i uczuć wytwarza się sztucznie próżnię Torricellego, którą wypełnić mają dopiero magiczne zabiegi samonamaszczających się znachorów i szamanów.

Nadużywa się świętego imienia nauki dla celów nic z nauką nie mających wspólnego.

Arogancko i bezczelnie przesłania się względny i cząstkowy wysiłek i owoc pracy innych, by w sposób śmieszny, urągający minimalnemu krytycyzmowi wyolbrzymić i wydać do karykaturalnych rozmiarów rezultat pracy własnej.

Zamiast stwarzać wielką i zapładniającą się wzajem wspólnotę współpracujących, stwarza się koterie i kapliczki, pokumanych zasadą „sitwy" i przyjacielskiej poręki, wówczas gdy rzeczy społecznie wielkich nie tworzy się w kapliczkach, i intelektualista musi mieć swoje miejsce w rzeczywistości i rozwoju społecznym.

Nie wpływa to wszystko bynajmniej na załagodzenie istniejących zadrażnień: do starych dodaje się raczej wciąż nowe, odstręczając od rzetelnej współpracy ludzi zasłużonych, pozbawionych jednak umiejętności samozachwalania.

Sądzić by należało, że czynniki, powołane do czuwania nad całokształtem stosunków teraźniejszych, powinny z ojcowską zapewne pobłażliwością dla wybryków tych podtatusiałych dość często oświecicieli, lecz i w sposób stanowczy powściągać żałosne praktyki aroganckich gorliwców, przynoszących znacznie więcej szkody sprawie, której służą, niż jej rzeczywiści zawzięci wrogowie.

Nie darmo rodzące się w naszych czasach przysłowie utrwala nową refleksję, wchodzącą do skarbca zbiorowego doświadczenia:

„Chroń mnie, Boże, od głupich przyjaciół, bo z wrogami to jakoś już dam sobie sam radę!"

Jan Nepomucen Miller

Greiser złamany

opinią biegłych i uczonych polskich

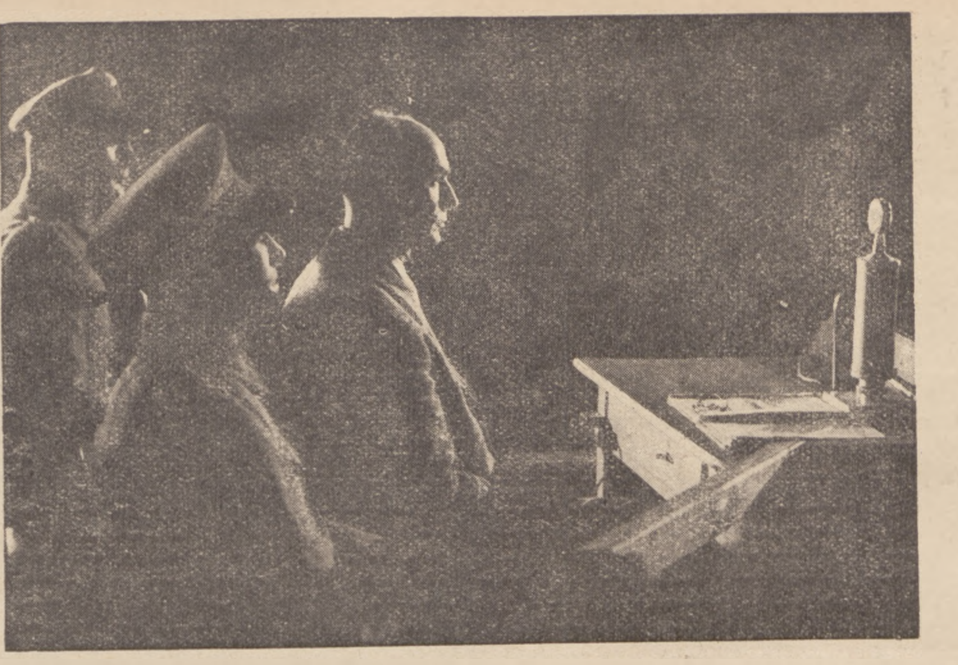
Gauleiter Greiser twierdził, że wogóle nic nie wiedział o masowych morderstwach, torturach, grabieżach i prześladowaniach. Tym bardziej ich nie nakazywał. Istotnie trudno mu dowieść dokumentami, że kłamie, gdyż ważną troską jego i jemu podobnych stanowiło przygotowanie sobie alibi. Oczywiście nie było nikogo na sali sądowej, ktoby w sumieniu swym miał wątpliwości, co do winy Greisera. Ale przed trybunałem Rzplitej „trzeba dowodów", **trzeba aby oskarżony był „prawem zwycięzony".**

Pojawiło się przeto pytanie pod adresem Greisera: „skoro—jak mówisz—nie współdziałałeś w zbrodniach Himmlera, a nawet im byłeś przeciwny, skoro nie dążyłeś do usunięcia Polaków z „Warthegau" i osiedlenia tam Niemców — to coś robił jako namiestnik, co miało oznaczać twe hasło: „hart aber gerecht", co miało się stać z tym krajem i jego polskimi mieszkańcami!?

Greiser opanowany, bystry, konsekwentny i bezczelny miał na to odpowiedź gotową: Pragnął aby na terenie „Warthegau" Polacy współżyli harmonijnie z Niemcami, mieli nawet stanowić większość ludności, Greiser myślał już o ściągnięciu spowrotem tych, którzy „wyjechali" do Generalgouvernement.

Sala szemrze szeptem oburzenia, lub może podziwu dla cynizmu i bezczelności tych oświadczeń. Ale koncepcja zarysowana przez oskarżonego ma pozory logiki: na dole mordercy z SS, Greiserowi niepodlegli, u góry w Berlinie Himmler, dający bezpośrednio rozkazy owej zgrai, pośrodku przyjaciel Polaków Greiser, oderwany od ziemi, jak pasażer w aeroplanie, zamknięty w złotej klatce swego pałacu w Ludwikowie (własne porównanie Gr.). Ciągle jeszcze za mało dowodów, że to zwykłe łgarstwo, że Himmler i Greiser są jak palce jednej ręki. Świadkowie jak gdyby rozłożyli przed sądem fragmenty mozaiki, o której wszyscy dobrze wiemy, że składa się na portret masowego mordercy, ale fragmenty te jeszcze nie dadzą się rozłożyć na obraz jasny i kompletny. Słuchaczy na sali zbiera gniew i rozdrażnienie: pocóż szukać dowodów dla rzeczy oczywistej, rozcinać włos na czworo. Ale w Polsce setki lat temu obowiązywała zasada **neminem captivabimus nisi iure victus**, Greiserowi dano prawa człowieka i prawa oskarżonego, potrzebne są dowody niezbite.

W tej właśnie naprężonej atmosferze pierwszych dni procesu w miejscu, gdzie zeznawali świadkowie, pojawił się pulpit, przypominający nieco katedrę szkolną. Rozkładać na nim zaczęli swe papiery profesorowie uniwersytetów: krakowskiego, poznańskiego, łódzkiego, pracownicy naukowi Instytutu Zachodniego, eksperci socjologii, ekonomii, demografii prawa narodów, prawa administracyjnego, znawcy doktryny narodowo-socjalistycznej. W długich, precyzyjnych, aż przesadnie objektywnych wywodach mało się zajmują samym Greiserem, nie mówią też o torturach zadawanych przez pojedyńczego Niemca pojedyńczemu Polakowi. Kreślą olbrzymi obraz „ludobójstwa", morderstwa, jakie naród niemiecki postanowił dokonać na narodzie polskim. Podają formy organizacyjne, w jakie tę czynność zbrodniczą ujęto. Mówią nie o zapaćkanych krwią SS-manach, lecz o niemieckich uczonych, mężach stanu, filozofach, prawnikach. I oto Greiser, dotąd spokojny, zaczyna się niepokoić. Nerwowo przytupuje nogą. Jest blady. I milknie, przestaje zadawać pytania, których tak wiele miał dla świadków. Albowiem teraz dopiero fragmenty mozaiki zaczynają się układać w obraz niepozostawiający żadnych wątpliwości i tak jasny, że opowieści Greiserowe o pięknej jego „drugiej duszy" okazują się oczywiście absurdem.



Greiser w oczekiwaniu wyroku śmierci

Był plan opanowania Europy oraz części Azji i Afryki, żyjące tam ludy miały być wasalami Niemców. Aby je trzymać w ryzach Niemcy **musieli** posiąść wielkie obszary rolnicze, dające samowystarczalność wyżywieniową, zaludnione wyłącznie przez szybko mnożących się niemieckich chłopów — żołnierzy. **Musieli** opanować te tereny szybko, bo bez nich byli by zależni od rąk wasali i groziło by im wyludnienie. **Musieli** Polaków w „Warthegau" wymordować, wygnać, lub zamienić w zwierzęta robocze. **Musieli** zastosować metody najbardziej brutalne, bo im to nakazywał pośpiech i złe doświadczenia z dawnych starć z Polakami. **Musieli** w tym celu mieć sprawną organizację w jednym ręku skupiającą wszystkie środki działania. **Musieli** ze sobą współpracować: uczony i morderca; partia, administracja, policja, wojsko; **musiała** być harmonia między Himmlerem, Greiserem i szeregowym mordercą.

Nie zostało żadnego miejsca dla rzekomych planów Greisera. Nie mógł ich mieć, bo nie byłby narodowym socjalistą. I nie miał ich, bo zlikwidowano by go, jak wielu innych. Był fragmentem mozaiki, a gdy ją już ułożono w porządny i wyraźny obraz, okazało się też, jakim fragmentem był Greiser: herszter morderców. Wszystko pasuje już do siebie w sposób doskonały i jedyny, każdy następny świadek czy dokument automatycznie niejako wskakuje w swe miejsce, nawet brak niektórych dokumentów okazuje się cząstką planu, pytania prokuratorów dają się z góry przewidzieć, napływający materiał dowodowy już tylko uwypukla obraz o treści niemogącej wzbudzać żadnych już zgoła wątpliwości.

W ten sposób, przy wybitnej pomocy owej najbardziej przez Niemców niszczonej nauki polskiej, przed ferowaniem nań wyroku Greiser został prawem zwycięzony. Wyrok śmierci jest wyrazem nie tylko przekonania, płynącego z doświadczeń osobistych i zdrowego rozsądku, ale i tego „rozcinania włosa na cztery części", które stanowi o powadze wymiaru sprawiedliwości.

W. J.

BĘDZIEMY GŁOSOWALI DO SEJMU

W chwili zamknięcia numeru nie posiadamy jeszcze całkowitych wyników referendum. Z dotychczasowych wiadomości można już stwierdzić, że jedyną Izbą Ustawodawczą Polski będzie Sejm, który uchwali nową Konstytucję Rzeczypospolitej.

Po ogłoszeniu oficjalnych wyników przystąpimy do omówienia nasuwających się zagadnień ustawodawczych.

Zawody lekkoatletyczne o paszporty do Oslo

W Warszawie odbyły się pierwsze po wojnie ogólnopolskie zawody lekkoatletyczne, które zgromadziły przeszło 100 zawodników z całego kraju.

Zawody te były pierwszą eliminacją przed wyłonieniem polskiej reprezentacji na tegoroczne mistrzostwa lekkoatletyczne Europy w Oslo.

Mimo tak długiej przerwy zawodnicy nasi wykazali, że w niektórych kategoriach rozgrywek, mogą mieć szanse do czołowych miejsc wśród mistrzów Europy.

Przed wyjazdem za granicę, reprezentacja przejdzie specjalny obóz treningowy.



Danowski zwycięża w biegu na 200 mtr.

Himmler chciał uciec

za sfałszowane pieniądze

W Wiesbadenie ujawniono kolosalnych rozmiarów aferę walutową dokonaną przez hitlerowców w ostatnim roku wojny w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen.

W styczniu 1944 r. do obozu w Oświęcimiu przybył oficer kontrwywiadu inż. dypl. S. S. Bernard Krueger i wybrał spośród więźniów 61 drukarzy, rytowników i bankowców. Wybranych wywieziono do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen pod Berlinem. gdzie zostali umieszczeni na tajnym oddziale w blokach 18 i 19.

Komendę nad całością objął Krueger Blokowym był S. S. hauptscharführer Kurt Werner, jego zastępcą S. S. obersturmführer Walter Hansch.

W blokach 18 i 19 znajdowała się kompletnie urządzona fabryka banknotów i dokumentów z drukarnią, litografią, laboratorium fotograficznym i t.p. Poza banknotami drukowano fałszywe dokumenty dla szpiegów, paszporty szwajcarskie, portugalskie, tureckie, Stanów Zjednoczonych, i państw Ameryki Południowej. Część wyrobionych banknotów poddawano procesowi t.zw. altmacherei. Gotowe banknoty odwoził Krueger do Deutsche Bank do Berlina. Stamtąd wysyłano je do oddziałów D. B. m. in. w Lizbonie i w Ankarze.

Sfałszowane pieniądze szły na opłacenie szpiegów, finansowanie akcji sabotażowych, nade wszystko zaś na zakup złota... z Indii. Transakcji tych dokonywano za pośrednictwem Ankary pod opieką von Papena. Tak to Niemcy zasilali się złotem z dominium angielskiego, nabywanym za sfałszowane angielskie pieniądze. Ogółem wydrukowano półtora miliarda funtów szterlingów.

W drugiej połowie lutego 1945 roku powiało paniką. Front zbliżał się. Rosjanie zajęli Kistrzyń. Całą fałszernię zapakowano i transportem 20 wagonowym odesłano do obozu w Redl w Austrii. Tam przystąpiono natychmiast do montowania maszyn na nowo.

Ale do uruchomienia fabryki już nie doszło. Dnia 28 kwietnia 1945 roku do Redl przyjechał samochodem generał S. S. specjalny wysłannik Himmlera. Przywiózł on rozkaz wysortowania i wydania 4 i pół miliona funtów szterlingów zdatnych do puszczenia w obieg Pieniądze te miały umożliwić Himmlerowi ucieczkę za granicę.

W tym czasie lotnictwo alianckie bombardowało Redl. Personel fałszerni przystąpił do pracy w podziemnych sztolniach zabezpieczonych przed bombardowaniami. Pracowano przez 38 godzin bez przerwy. Gdy przyszła wiadomość, że Hitler zginął w Berlinie, generał SS zrezygnował z ratowania Himlera i pomyślał o własnej skórze. W wielkim pośpiechu i zdenerwowaniu zapakował 3 miliony funtów szterlingów do walizek, wsiadł z Kruegerem do samochodu i razem z nim uciekł do Szwajcarii. Fakt ten przyczynił się niewątpliwie do opóźnienia ucieczki Himmlera krzyżując jego plany.

Po ucieczce zwierzchników Hansch zarządził zapakowanie urządzeń fałszerni do skrzyń i utopienie ich w jeziorze Frauensee. Więźniów wytransportowano do koszar SS w Ebensee. Jak się następnie okazało, Hansch był w posiadaniu zalakowanej koperty, którą zgodnie z rozkazem otworzył w dniu 4 maja 1945 roku. Koperta zawierała rozkaz zabicia wszystkich więźniów, którzy pracowali przy fałszowaniu. Tymczasem jednak strażnicy uciekli, pozostawiając broń. Hansch wraz z Wernerem poszli w ich ślady.

Wojska amerykańskie wyzwoliły przymusową załogę hitlerowskiej fałszerni.

Skleroza

W „ŻYCIU WARSZAWY“ Nr 161/599 z dn. 13 czerwca r. b. czytamy następujące obwieszczenie urzędowe:

Sygn. akt: I Zg 616/46. Obwieszczenie publiczne. Sąd Grodzki w Warszawie Oddział I wzywa Melę z Waksmanów Glikich, córkę Michała i Emilii z Talermanów, urodzoną w Warszawie, dnia 5 sierpnia 1914 roku ostatnio zamieszkałą w Warszawie, która w sierpniu 1942 roku została wywieziona przez Niemców do obozu w Bełżcu i tam **zamordowana**, aby w terminie miesięcznym stawiła się do Sądu, gdyż po tym terminie Sąd uzna ją za zmarłą, oraz wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić jakichkolwiek wiadomości o zaginionej, aby w powyższym terminie doniosły o nich Sądowi. Sekretarz Sądu A. Radomski.

●

Oddział „Społem“ w Radomsku otrzymał poniższe pismo urzędowe ze Starostwa Powiatowego w Radomsku:

Radomsko, dnia 17 maja 1946 r.

Starostwo Powiatowe
w Radomsku
Referat Kultury i Sztuki
L. dz. 34.I.KS.46 r.—

Do Spółdzielni Handlowej „Społem“
w miejscu

Ponieważ firmy przemysłowe i gospodarcze w Radomsku bagatelizują sobie sprawy Kultury i Sztuki, przerzucając całkowicie odpowiedzialność za te sprawy na władze państwowe i samorządowe, zmuszony jestem wyjaśnić niniejszym, że... wszystkie firmy przemysłowe, instytucje gospodarcze są obowiązane ponosić proporcjonalnie koszty przedsięwzięć kulturalnych w powiecie.—

Przy tej okazji warto nadmienić, że rozwój kultury narodowej jest celem i sensem istnienia granic, sił zbrojnych, polityki gospodarczej, słowem bytu narodowego. **Czynniki postępowe dlatego walczą o wyzwolenie człowieka z więzi ekonomicznej zawisłości, aby umożliwić mu swobodny i czynny udział** w życiu duchowym.— Nie wolno zapominać o tej sprawie ludziom, stojącym na czele życia państwowego, gospodarczego czy instytucji społecznej.—

Doceniając powyższy cel... proszę przyjąć członka Powiatowej Orkiestry Dętej OB. LIPSKIEGO Czesława na etat pracownika firmy z warunkiem, że praca: a) nie może być ciężka, b) odpowiedzialna, c) członek orkiestry musi być zwolniony w razie potrzeby z pracy na moje żądanie. —

O wykonaniu zarządzenia proszę mnie zawiadomić do dnia 30 maja 1946 r.

Starosta Powiatowy
(—) M. Nowacki

Za zgodność:
(—) podpis nieczytelny
Referent Kultury i Sztuki

Pow. Rada Zw. Zaw. zwraca się z prośbą o potraktowanie powyższego żądania poważnie, co unormuje zadanie orkiestry do społeczeństwa. —

(pieczęć)

Powiatowa Rada Związków
ZAWODOWYCH w Radomsku

Z. Bobras
(—) Z. Bobras

W obydwu wypadkach mamy do czynienia z t. zw. sklerozą. Jest to, jak wiadomo, schorzenie, które pociąga za sobą osłabienie działalności mózgu. W pierwszym wypadku skleroza jest mniej groźna, dotknięty nią bowiem został tylko jeden osobnik — sekretarz sądu — mniemający, że ludzie zamordowani mogą w terminie miesięcznym stawić się na jego żądanie. W drugim wypadku skleroza stała się objawem epidemicznym.

Obydwa przypadki nasunęły nam myśl założenia w „Tygodniu“ specjalnej rubryki osobliwości. Do udziału w niej zapraszamy czytelników, którzy niech zechcą nadsyłać nam swoje lekarskie spostrzeżenia, poparte dokumentami.

„Perlony”

Dużo się mówi u nas o produkcji perlonów. Każda rodzina elegantka, marzy o chwili, kiedy będzie mogła serca swoich przyjaciółek napełnić zazdrością, prezentując im nowiutkie perlony.

Mało kto jednak wie, że produkcja tego artykułu wynosi w tej chwili... 2 kg. miesięcznie, wytwarzanych jedynie laboratoryjnie, co starczyć może zaledwie na 100 do 150 par leciutkich pończoszek. Wytwarzanie fabryczne perlonu planowane jest dopiero na koniec 1947 roku, a więc na pojawienie się większych ilości perlonów będziemy czekać conajmniej parę lat.



Po raz pierwszy w Europie Kaczka dziennikarska pojawiła się w 1846 r. we Francji. Pewnego dnia redaktor dziennika „Le Constitutionnel“, mało popularnego pisma, doniósł swoim czytelnikom o żarłoczności kaczek, podając, że doszło do jego wiadomości, że „jedna z tych dwunożnych żarłoczek zjadła dziewięć swoich koleżanek z kośćmi i z pierzem“. Chcąc zaś wypróbować ciekawość czytelników, objaśnienie tego wypadku odłożył na osiem dni.

Wiadomość ta wywołała ogromne wrażenie nie tylko we Francji, ale i w innych krajach Europy; przedrukowały ją inne pisma francuskie, niemieckie, włoskie i angielskie.

Po ośmiu dniach natężonej ciekawości wyszedł wreszcie długo oczekiwany numer pisma. W kilkanaście minut cały nakład został rozsprzedany w Paryżu i redakcja była zmuszona dodatkowo odbić drugie wydanie w 50.000 egzemplarzy. Oto jakie rozwiązanie podała redakcja „Le Constitutionnel“. „W pięknym i cichym folwarku, niedaleko Paryża, między innymi stworzeniami, które tam pędziły spokojny żywot rosły i mnożyły się kaczki. Dwa stawy niezbyt odległe od siebie ocienione bujnymi drzewami stanowiły prawdziwy raj ziemski dla tego smacznego drobiu, który też cały dzień spędzał na przechodzeniu, a raczej na przetaczaniu się z jednego stawu do drugiego. Było ich sztuk dziesięć, wszystkie związane uczuciem przyjaźni i braterstwa. W pogodny wieczór, gdy poczciwe kaczki zmęczone całodziennym pływaniem i nurzaniem się. dostawały z rąk tłustej gosposi zwykłe pożywienie, i ciekawie tłocząc się jedna przez drugą, w rodzinnym języku zapytywał się wzajemnie! quoi? quoi? quoi? — jakiś jegomość stał sobie spokojnie oparty o płot, okalający podwórze. Strój jego, cokolwiek zakurzony, oznaczał podróżnego. Okulary na nosie, teka pod pachą i książki w paczce wskazywały, że był to jakiś uczony. Istotnie był to uczony zoolog, który postanowił zrobić pewne doświadczenie. Zakupił on od gospodyni wszystkie dziesięć sztuk, następnie wyjednał sobie na kilka dni pozwolenie zamknięcia ich w osobnym kurniku. Potem wziąwszy pierwszą lepszą kaczkę i posiekawszy ją w drobne kawałki z kośćmi i z pierzem, dał ją zamkniętym dziewięciu innym jako jedyne pożywienie. Kaczki nie poznały przyjaciółki pod postacią tej siekaniny i pożarły ją w mgnieniu oka. Wziąwszy drugą z rzędu, postąpił z nią tak samo i podał pozostałym ośmiu. I z tej drugiej śladu nie zostało. Tym sposobem trzecią podał siedmiu, czwartą już tylko sześciu kaczkom i postępując tak dalej doszedł do tego, że ostatnia rzeczywiście pożarła dziewięć towarzyszek z kośćmi i pierzem“.

Zdziwienie czytelników było ogromne. I choć się potem okazało, że ten wypadek był zmyślony, jednakże tak był prawdopodobny, że wszyscy w niego uwierzyli.

Od tego więc czasu, gdy jakieś pismo wyskoczyło z nowiną prawdopodobną, lecz mało wiarogodną — nowinę tą nazywano kaczką dziennikarską.

Marian Bogacz



WYROBY SZTUCZNE Z PLASTYKU

Na wystawie w Nowym Jorku w maju 1946 r. pokazano wiele ciekawych eksponatów jak np. żaluzje tak lekkie, że mogą być podniesione jednym palcem, a zarazem tak mocne, że mogą wytrzymać wagę mężczyzny, zabawki z plastyku, liny rybackie lżejsze niż szpagat, a mocniejsze niż stal, ręcznie wycinane kwiaty.

Szczególną uwagę pań zwracały pończochy z t.zw. „Sytonu“, cieniutkie, w których nie opodają oczka oraz dekoracyjne, lekkie kapelusze, z których jeden model powyżej demonstrujemy.



Janina Ordężanka, Danuta Szaflarska i Jan Kurnakowicz w nakręcanym filmie „Zakazane piosenki“ — (Film polski)

„Zakazane piosenki“ w Polskim Hollywood

W pierwszym polskim długometrażowym filmie p. t. „Zakazane Piosenki“, który ma być wyświetlany na ekranach już w połowie września b. r., obok Kurnakowicza występuje: J. Ordężanka i młoda aktorka Danuta Szaflarska:

Ta nowa gwiazda ma wyrazistą twarz, kinogeniczne oczy, śliczny uśmiech i zęby.

— Skąd się pani znalazła tutaj — pytamy.

— Do Łodzi sprowadzili mnie reżyserowie „Filmu Polskiego“ z Krakowa, gdzie występowałam w teatrze. Jestem wychowanką Państw. Instytutu Sztuki Teatralnej. W filmie występuję po raz pierwszy.

Szaflarska ma doskonałą dykcję. Jej głos filmowcy uznali za wysoce fonogeniczny.

— Jakie są pani wrażenia z pracy w „Zakazanych Piosenkach“?

— Jak najlepsze, chociaż film, to dla mnie terra nova. Ale zobaczymy, jakie wrażenia odniesie publiczność.

Mam jednak wrażenie, że dodatnie.

Wytwórczość techniczna, to oczko w głowie przedsiębiorstwa „Film Polski“. Na niej opiera się nadzieje na przyszłą produkcję krajowych krótko i długometrażowych obrazów. Kierownicy i inżynierowie z dumą pokazują maszyny, warsztaty i precyzyjne przyrządy pomiarowe, zmontowane i uruchomione, w wielu wypadkach wykonane własnymi siłami. Zagraniczni goście, którzy interesują się polską produkcją, chodzą po halach fabrycznych, Polskiego Hollyood przy ul. Łąkowej w Łodzi oglądają pierwsze wyczyny polskiego przemysłu filmowego, każą sobie demonstrować działanie różnych przyrządów i wreszcie mówią: „o key“. Tymczasem jednak produkcja musi iść na zaspokojenie własnych potrzeb.

„Film Polski“ musi się zrehabilitować, zmazać niesławę „kinofikacji“. To też przyrzeka solennie powiększać systematycznie ilość kinoteatrów w całym kraju i zaopatrywać je w dostateczną ilość dobrych obrazów. Od jesieni co dwa miesiące ma powstawać nowy polski film. Zobaczymy

(żdż)



Szybka odbudowa ul. Boduena w Warszawie..... niestety tylko w atelier Filmu Polskiego. przy nakręcaniu filmu p. t. „Zakazane Piosenki“.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01369